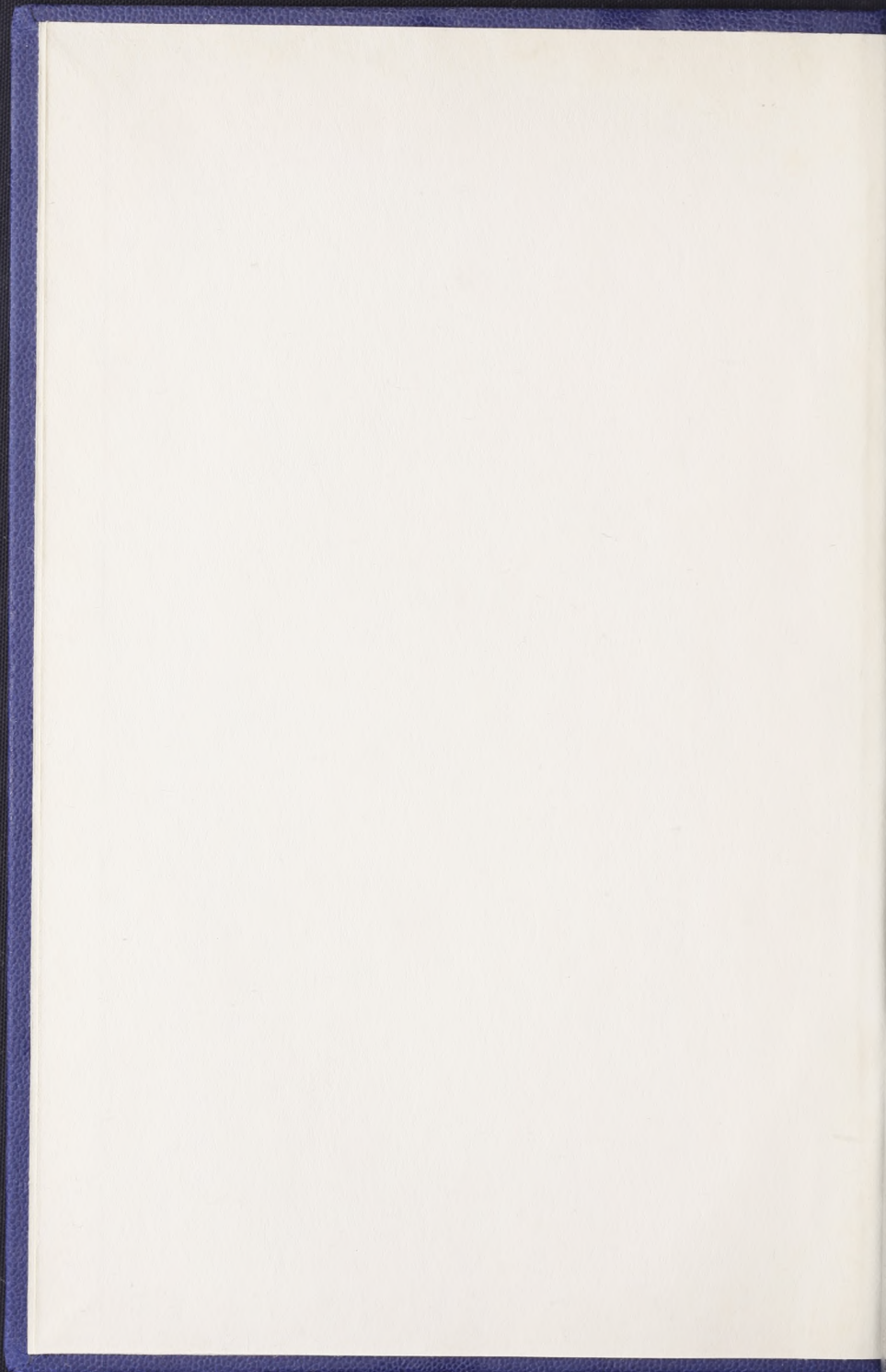


2008911











23716

butt  
no N 23716

WYDAWNICTWA E. ORZESZKOWEJ I S-KI.

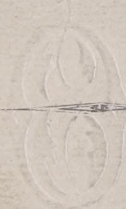
VII.

WŁADYSŁAW SYROKOMLA.

Studyum literackie

PRZEZ

W. Z. KOŚCIAŁKOWSKĄ.



WILNO.

*Drukiem J. Blumowicza, Rudnicka, d. ks. Ogińskich.*

1881.





Wydawnictwa E. Orzeszkowej i S-ki.

VII.

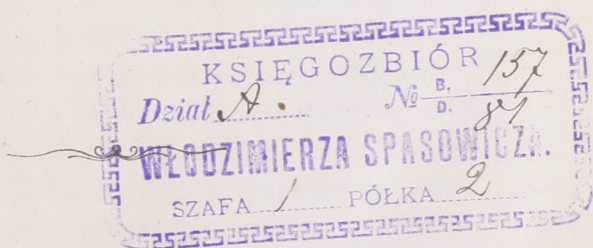
WŁADYSŁAW SYROKOMLA.

Studyum literackie

PRZEZ

W. Z. KOŚCIAŁKOWSKĄ.

23716



WILNO.

Drukiem J. Blumowicza, Rudnicka, d. ks. Ogińskich.

1881.



Biblioteka Narodowa  
Warszawa



30001010187393

Дозволено цензурою. 16 Сентября 1880 г. Вильна.



12.008.911



Типографія Ф. С. Блюмовича въ Вильнѣ,

Рудницкая ул., д. кн. Огинскихъ.

W piosnkę, jak w rzekę, nim szumiec zacnie,  
Tysiące źródeł wpada nieznacznie.

Rozmiary niniejszego szkicu nie pozwalają na wszechstronną ocenę dzieł poety. Musimy się ograniczyć na przedstawieniu w pobieżnych rysach najpopularniejszego, a zarazem najważniejszego ich odłamu, *gawęd i rymów ulotnych*, w których najwybitniej malują się: talent, wyobraźnia i serce Syrokomli. Śmiało go nazwać można poetą serca, a że serce miał wielkie i gorące, sielskie jego piosenki, zaściankowe gawędy, błyszczą, jak perły cenne w skarbnicy narodowych i piśmiennych klejnotów.

Z jakich że źródeł kropla po kropli sączyły się uczucia te i wyobrażenia, które, natchnieniem wezbrane w piersiach poety, spłynęły szeroką strugą pieśni? Wpływy tradycyi, czasu, otoczenia, zarówno wpływy fizyczne i moralne, odcisk swój zostawują na każdym dziele, a i to nawet, co w dziele sztuki poczytywanym bywa za piętno indywidualności twórcy, nie jest niczém inném—jeno wyskokiem nieuniknionym przyczyn i wpływów, streszczonych i skryształizowanych w pewne typowe, nieskończoną jednak różnorodność przedstawiające, kształty. Żadne zatem dzieło, jako niepowstałe samo w sobie, lub samo przez się, nie może być uważanem za fakt oderwany, gdy zaś zapatrywać się nań mamy z właściwego stanowiska, jako na odłam pewnej całości, nie podobna po-



minąć grupy związanych z nim zjawisk, nie zbadać gruntu, na którym wyrosło ono, lub się ujawniło.

W pięćdziesiątych latach, w Wilnie było tak, jak bywa w chwilę po zachodzie słońca, kiedy przed zsuwającym się szybko, choć nieznacznie, nocy cieniem, po skraju horyzontu wiją się pasma świetlanych blasków. Uniwersytetu i akademii nie było już oddawna; brak ich wraz z brakiem podstaw naukowych, niezbędnych dla wyższych polotów, groził załobą swych cieni blizkim pokoleniom, dalej od centrum ujawniał się już cień ten zastojem umysłowym i moralnym, psuł grunt, na którego ruinach tak się rozwielmożnić miały niektóre zgubne miejscowe stosunki. Tym czasem w życiu umysłowym i moralnym Wilna, było tak, jak bywa zwykle z zerwaniami kwiatami: przyszłość nie zbierze z nich nasion, lecz, nim uwiędną, wonią swą przenikają to, co je otacza. Żywą była tradycja uniwersytetu i akademii, żyli niektórzy dawni profesorowie, pod sterem dojrzałości roili się byli studenci uniwersytetu i podmuch ten gorący, co tak wielkie podniósł rzeczy, wiał z żywych słów, z cichych zasług, z głębokich cierpień i słonecznych wspomnień mnogiego zastępu ex-romantyków. Na czele tej aryergardy weteranów stał Tomasz Zan \*). Ten, co był przed laty założycielem stowarzyszenia „promiennych filaretów,“ wpadł na starość wjałowy mistycyzm. Wielokrotne przyczyny sprowadzały w one lata tę niby epidemiczną niemoc na najgorętsze serca. W sercu Zana, aż do niebaczości otwartém dla bliźnich, aż do słabości przebaczącącem, obłąd mistycyzmu nie ostudził szlachetnych entuzjasmów młodości, tylko obezwładnił ostatecznie i od praktycznych celów ode-rwał i bez tego sterane starca siły.

---

\*) Tomasz Zan zmarł w Wilnie w 1855 roku.



Nie wszyscy jednak wpadli w taką tragiczną niemoc. Najprzód tedy przyjaciel Zana—Chodźko, nie tracił trzeźwości uczuć i zdrowej jędrności niepospolitego talentu. Nasłuchiwał się opowiadań starego dworaka Ławrynowicza, odtwarzał przeszłość szlachecką z najwdzięczniejszej jej strony domowego życia. Uczony Jocher, trudniąc się prywatnym nauczycielstwem, układał cenne swe dzieło bibliograficzne, a uniesiony falą nauki na szkopyły najsmielszych hipotez, w „Harmonii mów,” wiązał sławiańskie narzecza z Fenicyan mową. Odyniec odśpiewał był już niezrównane swe przekłady, teraz redagował „Kuryera,” pisał „Felicytę,” układał „Oltarzyki,” „Barbarę Radziwiłłównę,” odzywał ciepłe wspomnienia, z których urosł potem tak zajmujący przyczynek do dziejów pieśni i życia Mickiewicza. Malinowski zagrożony, a może już i dotknięty utratą wzroku, wydawał, tłómaczył, adnotował kronikarzy i stare a cenne rękopisy i akty. Sędziwy historyk Litwy Teodor Narbutt \*) uzupełniał cenne swe, jako materyał, chociaż nie krytycznie przeprowadzone, prace. Kirkor opisywał rodzinne miasto i rozkopywał kurhany. Eustachy Tyszkiewicz wzbogacał, porządkował muzeum i zakładał towarzystwo archeologiczne. Doktor Adamowicz obchodził jubileusz towarzystwa lekarskiego, założonego przed pół wiekiem, przez ukochanego swego mistrza Józefa Franka. Uczącój się młodzieży, historję powszechną i literaturę wykladał tak pracowity i uczony profesor, jak Alexander Zdanowicz. Jeden z Wilczyńskich, utalentowany humorysta, wydawał znane powszechnie: „Kłopoty starego komendanta,” drugi pysznemi litografijami rozpowszechniał wzory sztuki naszej i starożytności. Moniuszko tworzył muzykę narodową. Spolszczały włoch Bonol-

---

\*) Teodor Narbutt umarł w Wilnie w 1864 roku.

di wybornie wykonywał niektóre jego kompozycje. Na scenie spotykać się dawaly niepospolite a skromne talenty. Malarze znajdowali mecenasów w Zaleskim proboszczu Ostrobramskim i w Ludwiku Pietkiewiczu. Księżna Puzynina (Gabryela Günter) nuciła piosnki swe bez osobliwego wprawdzie talentu, lecz w szlachetnych dążnościach, przestrzegając nadto w salonie czystości ojczyściej mowy. Duchowieństwo szło przytém w zawody ze swieckimi uczonymi i literatami: teologja kwitła na kapitule wileńskiej. Adam Stanisław Krasiński, zanim zasiadł na biskupstwie, zabawiał się piórem po swiecku raczej, niż po kapłańsku, tłómacząc „Wyprawę Igora na Połowców. Z kazalnicy rozlegała się krasomówczość księdza Ważyńskiego,—krasomówczość, szeroka poparta wiedzą. Zbór ewangelików posiadał na swém czele zasłużonego męża Lipińskiego.

Słowem, życie wrzało i aniby się można domyślić, że już dogorywa, że wkrótce na zachodzie pogasną te blaski... Tymczasem drukarskie czcionki i tłoczarnie w ruchu. Krzątają się wydawcy, zbieracze, komentatorowie, każdy niesie cegielkę do odbudowującego się gmachu. Po Wilnie i po prowincyi chodzą gwary o blizkim usamowolnieniu włóścian, przygotowują się roboty do wyciągnięcia linii dróg żelaznych; z wstąpieniem na tron Cesarza Alexandra II, powrócone rodzinom i ojczyźnie zastępy zesłańców i wychodźców, wnoszą z sobą: ci prądy zachodu, tamci hart wytrwałego doświadczenia, a od wszystkich tych prądów i strumieni udzielają się ogółowi świadome czasem, częściej bezwiedne, ale silne zawsze i nieprzemожone drgania.

Na taką to epokę przybył do Wilna w 1852 trzydziestoletni zaledwie, a już z bólem i troskami życia ześlubiony Ludwik Kondratowicz. Nie przybywał on z pustą kaletą serca i wyobraźni, a nawet rozgłosu. Drobniejsze poetyczne



utwory jego zdobiły czasopisma, znano go przytém jako tłómacza naszych łacinników. W sercu i w wyobraźni, otwartych na wrażenia, które w Wilnie chłonać miały, nie mało już było światła, zbieranych iskra po iskrze u ognisk przyrody, domowej tradycyi, pracy i bólu, obcowania z ludem i—za pośrednictwem doskonałej znajomości łaciny—z książkami pióra złotego wieku.

Przyrodę Syrokomla umiłował głębokiem, synowskiem uczuciem; miłość tę sownie mu ona odpłaciła natchnieniem i świeżością, jaką napiętnowała jego pieśni. Na łany ojczyściej niwy spoglądał on okiem kochanka, wypiaستowały go one od kolebki. Urodzony pod strzechą niezamożnego dzierzawcy na Polesiu, w tym zakątku naszego kraju, który za najuboższy uchodzi, przyrodę naszą znał we wszystkich jej pięknościach, kochał ją taką, jaką była i—jak to zwykle się dzieje, przy głębokiem, niezmienném kochaniu — kochał ją za to, że była taką, a nie inną: łagodną, prostoty pełną, tęskną, jak niedopowiedziane miłości słowo, smętną, omgloną dziewiczością, a tak rozkosznie ponętną dla każdego, co, wzrosłszy u jej łona, nie targnął się niebacznie na rodzinne węzły i serce, a wyobraźnię karmi u piersi rodzimych piękności. Dziwiło go, gdy kto ponęt tych nie szuka i nie rozumie. Dziwiło, gdy pieśniarze:

„Z silnemi piersmi i z sercem ochoczym  
Skarżą się na brak żywej treści,  
Że w pięknej Litwie śpiewać niema o czém,  
Że im nie staje wątka do powieści.“

I dalej wołał rozżalony:

„O bracia moi! rówiennicy mili!  
Za cóż swój matce bluźnicie zuchwale:  
Czyście już całą przyrodę zgłębili,  
Czyście już całą głęb' duszy zbadali?

(„Kęs Chleba“)



Tym zaś, co „wzdychają bluznierczo do Anzońskiej ziemi.“

„Złorzeczą matce wśród dzikich uniesień,  
Że nadto brzydka, kiedy się rozsłocha,  
Że na jej twarzy wiekuista jesień,  
Że nie tak piękna, jak obca macocha...“

Przypominał zranionego ptaka, któremu z pośród lasów mirtowych „do sosen wyrывa się dusza“, i los tułacza, co też może kiedyś bluznierstwem znieważał rodzicielkę, a teraz:

„Szedł by na Litwę odarty i boso  
Przebłągać góry i rodzinne bory,  
Którym się niegdyś tak srodze zawinia,  
Zdrowie swęj duszy odzyskałby chory  
Od szklanki wody z Niemna lub Horynia.“

Ukochaną swą tak opiewa:

„Ziemio moja rodzinna, Litwo moja święta,  
Żółtym piaskiem i drobną trawą przytrząsnęta,  
Niepokażne na oko dzikie tve zaciszę,

Twoja ziemia posępna, tve niebo bez blasku,  
Ciebie do Włoch na pokaz nie powieźć w obrazku,  
Nie spada w katarakty twoja woda sina,  
Na twych wzgórkach jałowiec, po lasach sośnina,  
Z nieociosanych bierwion klecone tve domy,  
Kwitnie mech zielonawy na strzechach ze słomy,  
A pod strzechą lud pełen prostoty i dziczy,  
Rzekłbyś patrząc na niego, że do trzech nie zliczy,  
A jednak do twęj treści zajrzawszy głęboko,  
Litwo! tys więcój warta, niż zda się na oko.

(Jan Dęboróg).

W tęg ubogięj, smętnęj ziemicy, wszystko mu lube, wszystko by rad opiewać:

..... ptaszat słoweczka  
Ranne skawronka „Zdrowas Marya,“  
Wydalbym pismem, co mówi rzeczka,  
Gdy się w kamykach pianą rozbija,  
Co mówi z wiatrem kłosista niwa,  
Co ryczą woły, jak beczą stada

Jak dzwon kościelny ludzi przyzywa,  
A potem mrużąc sam z sobą gada,  
Jak kowal młotem bije w kowadło,  
Jak młynarz grzmoce w rozszczep kamienny...

Z wiernością plastyczną kreśli obraz lasu, którego wier-  
ność, poetyczność i artystyczne obrobienie równa się opisom  
Mickiewicza puszczy litewskich. Jest to jedna z najpiękniej-  
szych opisowych stronnic, jakie posiada nasza literatura:

„ . . . . . jak koniec świata  
Ciemna, wysoka i rozległa puszcza  
Szerokie mszary i ciemne bagniska,  
Jak okiem skinać scielą się zdaleka,  
Gęstą olszyną ocieniona rzeka  
Pomiędzy karczce jak loch się przeciska.  
Nikt cię nie znajdzie — chyba czasem w lecie  
Syknie gadzina w mokrym oczerecie,  
Chyba u źródłu, u mokrych wybrzeży  
Niedzwiedź zamruczy, albo lis przebieży,  
A zresztą cicho.. sam jeno bór stary  
Szumi odwiecznie i chwije konary“...

Równie przepyszny jest opis Niemna:

„Cicho Niemen przebiega rodzinne siedziby,  
Nie straszny dla żeglarza i spokojny niby,  
Pozwala siebie łodziom deptać całe lato,  
Zimą da się w ciemnicę zakuć lodowatą;  
Nie stawia groźno czoła, nie rwie się, nie ryczy,  
Taki zda się pokorny, taki niewolniczy!  
O! nie wierz tej pokorze — i patrz kiedy łaska,  
Gdy się na wiosnę wzburzy i lód poroztrzaska,  
Gruchoce dom rybaka i statek żeglarza,  
Fala zalewa błonie, echem grzmi po borze,  
A gdyby jeszcze chwila, świat zniszczyłby może.“

(Jan Dęboróg).

Lecz niech no się dzika uśmiechnie przyroda, a uśmie-  
chnie się tak serdecznie, wesoło; prosto przemówi do duszy,  
naprzykład:



Niekiedy w nocy, gdy maj się pocznie,  
Słowik wieczorną piosnkę zadzwoni.  
Z wiejskimi chłopcy, z tabunem koni,  
Lecim na nocleg, śpiewając skocznie...

Tu konie zarzą, tu ogień błysnie,  
A tutaj ptastwo, jak naumyślnie,  
Na tysiąc tonów piosnkę szczebioce...  
Chróst na stosie, ogień bucha,  
Księżyc świeci, a gromada  
Pieśni, skazki opowiada,  
Skazek, pieśni bacznie słucha..

*(Jan Dęboróg).*

Innym razem przyroda płacze, a z nią i poeta, zostający  
zawsze w zgodzie z otaczającą go naturą:

„Pod oknami mojej chaty  
Biała brzołka smukła rośnie,  
A odarta z letniej szaty,  
Chwiejąc warkocz swój kudłaty,  
Pomrukuje coś żałośnie,  
Wyśpiewuje pieśń niedoli,  
Że słuchając dusza boli.

Groźną i surową, uśmiechniętą i splakaną ziemię swą  
poeta jednostajnie kocha, wraz z jednym z najulubieńszych  
swych mistrzów — Acernem, utrzymuje, że:

. . . . . na żyznym zagonie  
Usiadła jak pieszczocha u Boga na łonie.“

Gdyby mu ten zagon odjęto, chociażby się znalazł pod  
błękitami Włoch i w obec Alp granitów, umarłby z tę-  
sknoty:

„Z taką tęsknotą, jak z karą Bożą,  
Już i do trumny ciebie położą.

Tęsknota ta, nie doznana przez oddalenie się z miejsc  
ojczystych, przeczuta tylko a tak już głęboka, dziwić by  
mogła w innym czasie i na innym miejscu. Naszemu poecie,



który się uczył śpiewać na téj lirze, na której wieszcz, większy od niego, naciągnął znaną strunę... „ty jesteś jak zdrowie,“ tęsknota ta groziła echem niezbytéj trwogi,—trwogi, nieoddzielnéj pono od wszelkiéj płomiennéj wyłącznéj miłości. Dusze tak kochające nie te, bo są:

..... które umieją  
Ciągłe żyć światem, ciągle nadzieją,  
A których serce wszędzie przyrasta  
.....  
Wiosna im w maju, wiosna w oktobrze,  
Wszędzie ojczyzna, gdzie jeno dobrze.

Ale:

Są insze dusze, głupcy, waryaty,  
Co wołają słomę domowéj chaty,  
Co wśród palm pragną sosnowych lasów,  
A wśród pomarańcz i ananasów,  
Gminne ich zdrowie bardziej przywykło —  
Karmić się szczawiem, albo też ćwikłą.  
Poradź tu z grubą duszą litwina!  
Co swéj dzikości nie zapomina,  
Co swe lepianki, swych borów liście  
Kocha ogniście, kocha wieczyscie...  
Który rwąc z drzewa pomarańcz złoty  
Za szyszką sosen ginie z tęsknoty,  
Co otoczony natury blaskiem,  
Za dzikim borem, za żółtym piaskiem,  
Jak za kochanką, tęskni kochanek...

(*Janko Cmentarnik*).

Takie „twarde“ a tkliwe dusze kochaniu swemu zwykły pozostawać wierni do grobowéj deski.

Na twarde takie a tkliwe serca przyroda motać zwykła najlepszych natchnień nici. Syrokomla, mieszkaniec wioski, rolnik z potrzeby, poeta, więcéj czasu trawić musiał na łonie przyrody, niż w domowych ścianach. A jednak ściany te pochyłe, ciasne, niepokażne, czarowały urokiem swojskości poczciwe jego serce. Stary domek w nadniemeńskim Zalużu, rzewną nad wyraz pożegnał piosenką:

„Chatko! ściany twoje stoja,  
Lecz cię wkrótce proch zagrzebie,  
Jaż przyrosłem tak do ciebie,  
Ty tak wrosłaś w duszę moją!  
Wkrótce wnijdę w nowy kątek,  
Obcy sercu i pamięci —  
Nic z mych wrażeń, nic z pamiątek  
Nowej strzechy nie uświęci...

.....  
Łacno wznović chatkę starą,  
Lecz już duszy nie odnowię...

Zamieszkawszy w Borejkowszczyźnie pod Wilnem, pisze:

Nie mój to domek, nie moja gleba,  
Choć chleb mi rodzi przez lato,  
Moim jest tylko ten błękit nieba,  
Co się unosi nad chatą.

Ten, co tak ogniście kochał niwy ojczyste, nie miał ani sikiby własnego gruntu, ani nawet owych „czterech włók,” o których w pół żartobliwie, w pół łzawie pisze do Odyńca. Nie miał własnej strzechy, co by go osłoniła:

Od skwarów lata i wichrów zimy  
.....  
Gdzie by zapłakać można wygodnie...

W innym zbiorze wierszy i wierszyków Syrokomli, nie znaleźć ani jednego poświęconego wyłącznym skargom i utyskiwaniom na „srogie losy.” Losy były mu jednak więcej może, niż każdemu innemu poecie przekorne. Tylko wszędzie drga nuta cichego a głębokiego żalu, tęsknoty i mimo woli poety, pomiędzy wiersze jego, wciskają się skromne, serdeczne i nieziszczzone nigdy żądania. Z okna swego nie pragnie on widzieć nic—jeno: „wioskowe strzechy, ciche mogiły.”—I biedne jego serce, tęsknotą trawione, „w pier-siowej klatce jak ptaszek się miota,” a bliźni jego „jak kwiat w posuszy, cierpieniem zbici, zamarli na duszy.” Pośród



uganiających się za szczęściem, stając do działu i o dzie-  
dzictwo swe dopominając się w imię braterstwa, nie złota,  
nie czei on pragnie, lecz:

„Trochę słońca, trochę życia, to mi dusza wskrześnie,  
Trochę ciszy, trochę wczasu, to ułożę pieśnię,  
Trochę serca, coby spoić z méj piersi oddechem,  
Czasem łezką, czasem dumką, albo pustym śmiechem.“

Tych tylko?—A i to za wiele! Więc poeta skromniejsze  
snuje żądania:

„Głowę do trumny złożę w weselu,  
Jeżeli pójdą za moją trumną  
Ci, co kochałem... to nazbyt tłumno,  
Bo ja kochałem wielu... och wielu!  
Niech tylko przyjdą co mnie kochali

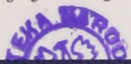
Ukołysany rad z mojej doli,  
Boleści życia wyspię powoli...“

Do tego snu kojącego tęskno mu, bo:

Umierać codziennie, umierać pomału  
I liczyć ziarenka piasku w żywota klapsydrze,  
To piersi obezsili i odwagę wydrze...“

W jedynym, jaki mu się wyrwał gorzkim sarknięciu  
„Cupio dissolvi,“ wyrzuty czyni Temu, co „nie rozumie żalów  
bez jęku“ — skarży się, że swe radości i swoje katusze, na  
dzwonku serca wydzwaniać musi, że „zawsze bólem serce  
się kraje“... „cierpi męczeństwo, lecz bez zasługi.“ Po tém  
niezwykłym sarknięciu, wraca do zwykłej sobie nuty, mężnej  
i rzewnej boleści:

„Cierni żywota gałęź kolczasta  
Zanadto silnie do serca wrasta.  
Tak je oplata, tak się wkorzenia,  
Ze samą boleść w nałóg zamienia;  
Wyrwawszy gałęź, wszczepioną zdradnie,  
Może się samo serce rozpadnie,  
Może się jego rozedrą spójnie...  
A więc bogdajby cierpieć dostojnie.“



Cierpieć dostojnie, to pod ciosami losu i w szponach bólu wytrwać z łagodną dumą, bez żółci do świata, ludzi i tego losu, co sobie okrutne igraszki wyprawia z najdostojniejszymi sercami. Nie dnie już, lecz lata całe na cierpieniu schodzić musiały temu, który znał koleje czasu, gdy „lata płyną prędko, ale dni powoli,“ i wiedział, że jedną miarą, cyrklem jednym mierzyć „nie można boleść serca ludzkiego i jego rozkosze.“ Suma boleści o wiele przewyższać musiała sumę rozkoszy, gdy nawet przed szczęścia błyskiem cofał się nieufny, pytając siebie, czy nie grzech to:

. . . . . nurtować w upojenia czarze.  
Za przedłużone szczęście czasem Pan Bóg skarże.

Niewiara w szczęście, w chwili gdy się niem napawa, jest wykwittem długiego nieprzerwanego pasma cierpień i niedoli. Na cichy ten a tak głęboki smutek, na boleść, co się nie miota w skargach, lecz z pod uśmiechu łąą krwawą się sączy, przyczyniło się wiele. Były one dwojakiej: osobistej i ogólnej natury. Przyczyniły się do tego zwykle poetom: tkliwość i wrażliwość; tęsknota wrodzona litwinom, zespolona z przeszłością ich i tłem ojczystego krajobrazu; rwanie się gorącego ducha ku ideałom i trzeźwy bardzo przytém pogląd na sprawy bieżące w rozterce z ideałem; zapal ostudzony zapasami z codziennymi powszednościami, zasady i idee, rozbijające się o szkopyły rzeczywistości. Dodajmy do tego troskę o chleb powszedni i wszystkie gorycze, co troskom tym towarzyszyć zwykły. Dodajmy wreszcie rozczarowania mnogie i różnorodne.

Tu zauważyć wypada, że rozczarowania, o jakich tu mowa, nie mają nic wspólnego z epidemicznym rozczarowaniem niektórych poetów. Syrokomla ma wprawdzie oko łąą zamglone, lecz nie wdział bynajmniej czarnych okularów, przez



które by mu świat i ludzie wyglądali jak z sadzy wyjęci. Nie należy on też do grona wieszczów „niezrozumiałych i zapoznanych.“ Zasług swych nie przecenia, nie wstępuje na Parnas, by zapiszczeć na dudce i nie ma pretensyi, jak Orfeusz nowy, dźwiękiem swój lutni, czarować piekielne moce. Lirnik to, któremu pieśń wre w łonie:

Liro ty moja śpiewna! z czarodziejskiego drewna  
Snać ciebie wyrobiono!  
Skoro wezmę cię w ręce, gdy twą rączkę zakręcę,  
Zaraz mi kipi łono,  
Czuję radość nieznaną, jakby na sercu grano  
I smutno i wesoło.

Lirnik ten ma grać „komu i co“ na Litwie „Panu Bogu w kościele i braciom w gospodzie i swojej jedynéj.“ Lira ta czarodziejska osładza gorycz, którą go ludzie napoją i Lira... daje nieśmiertelność.

A więc:

„Niech sobie boli ręka, niech sobie serce pęka,  
Przecie tonów nie zniżę,  
Nie żałuję méj głowy, wszak ja lirnik wioskowy  
Skonam, grając na lirze.

Gdyby „jeden z uważnych słuchaczy,“ to mu i dosyć. „Z braćmi w kapocie wywinąć się księdze nie trudno,“ więc śmiało, prosto, z sercem na dłoni śpieszy do nich z wierszykiem „skleconym na prędee,“ a gdy oni radzi dają „ucho sielskiemu gadule,“ woła z przekonaniem:

„Zgrzeszyłbym mówiąc, żem śpiewał daremnie.“

Syrokomla znalazł był istotnie w kraju uznanie i żywą sympatyę. Znalazł je dla tego, że posiadał talent istotny, nastrój narodowy, że uderzył w struny uczuć i wyobrażeń, naciągniętych na harfie czasu. Nie był to genjusz, wyprzedzający wiek swój i lud swój, tylko talent dopasowany do potrzeb swego czasu

i do smaku swych słuchaczy. Sam żartobliwie wyraził to w „Filipie z Konopi:“

Choć się uczucie w piersi, myśl do głowy ciśnie,  
Choćbys jasniej przeglądał, niż twoi współcześni,  
Nie śpiesz się (moja rada) mówić do słuchaczy:  
Co twe serce przeczuwa, co twe oko baczy

Ognistych bohaterów minęły już lata,  
Krew, łzy i pośmiewisko — taka ich zapłata.“

Syrokomla czuł spójnię, istniejącą między nim, a jego słuchaczami. Widać to z każdej odezwy, w którą zaopatrywał zeszyty gawęd swych i rymów ulotnych, w świat je wyprawując. Słyszał życzliwe echo, wtórujące jego westchnieniom i uśmiechom.

„Jest święty węzeł, co silnie skojarza  
Serce słuchacza i serce pieśniarza;  
Śpiewak, którego otacza gromada,  
Z taktów jój serca swe pieśni układa.“

Otóż to, w tém spoczywa i zawieź tego świętego węzła: wśluchać się w tętna wieku swego i społeczeństwa. Wieszcz, mający poczucie tej spójni, obojętnie przyjmuje krytykę literacką i nie chce tych słuchaczy:

„Kogo zamorskie pachnidło przynęci,  
Cóż mu aromat naszych sianożęci.“

Bo i istotnie, czy ów odłam społeczeństwa może zawazyć na szali, na której się ważą swojskie dobytki: talent, praca i zasługa? Zostawiając „jasnym panom i półpankom“ towar z pierwszych paryzkich warsztatów, Syrokomla śpiewa dla „gminu szaraczkowego,“ to jest: dla tej masy zbitej narodu, która się w pięćdziesiątych latach wyłoniła z wiekowego cienia. Do wyłonienia się tego przyczyniła się niewątpliwie szkoła romantyczna, czerpiąca soki z ludowych



pierwiastków. Przewrotny i trzeźwy umysł Syrokomli, w „gminie szaraczkowym“ dopatrzył siły, na której opierała się bezwiednie obecna chwila i która miała nadać popęd przyszłości. Do cechującego epokę demokratyzmu wrócimy niżej, tu wypada powiedzieć jeszcze słów parę o jego skromności. Skromność, którą już zauważyliśmy w chęciach jego i upodobaniach, zastosował do swego talentu. Zaleta ta rzadka w poecie, gdyż lada jaki wierszokleta mieni się kochankiem muz i wybrańcem ludzkości, wyczekując daniny hołdów i uwielbienia. Dla Syrokomli byle „w piosnce przetrwać chwilę, dzień swój śmierci i pogrzebu“ — to i dosyć.

„Będą ciebie w mnogim tłumie  
Ci potępiać, ci wynosić,  
Lecz się znajdzie, co zrozumie,  
Westchnie ze mną — to i dosyć.“

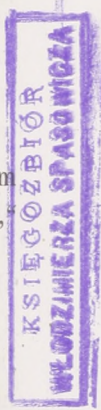
On chciałby, aby pieśni jego nie były rwącym hałaśliwym strumieniem, lecz „kroplą deszczową,“ co kamień przebija, a do poczynającego pisarza woła:

„Tylko nie jęknij, gdy cię zaboli,  
Nie śmieć na ludzi plwać bezlitośnie,  
Nie złorzecz Bogu, że zbyt powoli  
Owoc twój myśli w drzewo wyrośnie.“

Talent swój Syrokomla określił wybornie w wierszyku, „co umiem nakreśle.“ Chatę litewską, wioskowy kościół, dworek slachecki, organista z kantyczkami, „dębowe szczepy chocimskich rycerzy,“ — słowem to, co z całej ukochał duszy.

„Ot i wszystek moj talent wyczerpał się marny,  
Nie mam z czego być kunsztem rysowniczym dumny“.

A jednak te misterne rodzajowe obrazki, toć téż kunszt nielada i myliłby się bardzo, kto by sądził, że cała gama poezyi zawiera się w filozoficznych zagadnieniach Göttego,



w krzyku rozpaczny Byrona, w olbrzymich pomysłach, w błysku olsniewających świateł i w grozie głębokich cieni. Jak w malarstwie, tak samo i w poezji, obraz rodzajowy chociaż nie jest największym wyrazem sztuki, posiada wdzięk sobie właściwy i gdy ręką mistrza skreślony, cenniejszym bywa nieraz od chybionego wielkiego płótna. Najlepiej to się okazuje na samym Syrokomli. Gawędy jego i wiersze ulotne, są o wiele lepsze od prób dramatycznych i poematów, których to szerokie ramy nie odpowiadały naturze uzdolnienia jego i wykształcenia. Wyższego wykształcenia naukowego, niezbędnej téj podstawy dla wieszczych natchnień, nie posiadał on; posiadał tylko średnie szkolne wykształcenie, przytém znajomość wielką swojskiej literatury, począwszy od tych dziwnych łacinników złotego wieku, którzy pod wpływem czasu pisali kosmopolitycznym literackim językiem Cyncerona, rzeczy nawskróś polskie, najświetniejsze anachronizmy, jakie posiada pismienictwo europejskie. Gdzie indziej wspólność rasy, języka, cywilizacji najzupełniej łacińskiej, zatarły wszelkie odrębności miejscowe. Łacina była tam bladym, jednolitym wykwitem średniowiecznej scholastycznej kultury. U nas rzeczy miały się inaczej. Odrębność rasy, odległość od centrum łacińskiego, utrzymały wpływ języka kosmopolitycznego, w zwierzchniej, napływowej szacie i w cztery wieki później śpiewak z nad Niemna, w doskonałej, co do ducha i treści, mógł się znaleźć harmonii z mistrzem Acernusem. W łacinnikach Syrokomla wyuczył się dawniej Polski tylko. Widzieliśmy już jak wiernym sercem ziemię swą i lud swój ukochał. Nie obdarzony orłem geniuszu okiem, nie wzmocniony szeroką wiedzą do orlich polotów, rozkochał się w każdej skibie ziemi swój, w każdej zbutwiałej karcie starych kronik i takowe opiewał. Umysł otwarty i serce gorące intuicya wreszcie właściwa istocie



talentu, dokonały reszty. Nie objął orlém okiem olbrzymiej całości, nie zdarł śmiałą dłonią zasłon z ociemniałych oczu współczesnych, nie wybiegł w przyszłe wieki kometa, której by miotła zahaczała o odległe horyzonty, ale też nie pozostał nieczułym na prądy przebiegające nowożytnego społeczeństwa i głuchym nie był na głosy postępu i dla tego to w zakresie rodzajowym nie był czczym rymotwórcą, lecz został poetą w istotnym głębokim poezji znaczeniu.

Skromne nader mniemanie o własnym talencie nie przeszkadzało Syrokomli czuć i rozumieć wielkość poezji, niepokalane kapłaństwo poety. Poezja jest dla niego „najwznioslejszą meta“ i snując marzenia o przyszłości nad kolebką niemowlęcia, zaleca mu:

„Kiedy podrośniesz, prosz Pana Boga—  
Niech cię uczyni wielkim poetą“.

.....

Nie uznaje on za poetę tego, „kto śpiewa i patrzy, czy słuchają, czy patrzą słuchacze“, ani tego, co stojąc na górze z pychą stroi pieśniarskie narzędzie. Lecz ten mu poetą, „co łączy swojej radości i smutku na wilgotnej swój ziemi położy“, by z łez „wyrosł piołun, co służy na zdrowie“, z usmiechów—„żyto na chleb dla wnuków“. Sam o sobie tak świadczy:

„Gdziekolwiek dumka, lub serce się miota,  
Zawszem miał pamięć na ziarno żywota“.

Gdzie indziej zaś, nie chcąc bić czołem przed złotym cielcem Mamona, „robak lichy“ czuje dostojność swego zawodu, na piersiach ma chryzmat proroczy i nie chce spaść ze swego nieba, starć na swych skroniach blask majestatu. Nie!

„Więc raczej cierpieć, gdy cierpieć trzeba,  
Z krwi i łez przynieść ofiarę świata“.

Krwawa ofiara! To też grajek siwy sielskiemu chłopięciu, co na wzór dziada stroi sobie z łuczyny skrzypki, zaleca precz rzucić to „zakłete narzędzie“, „tę trzaskę, co ręce kaleczy, sen i spokój odejmuje na zawsze“. Niech się raczej pacholę bawi w plebana — chleb to spokojny, dostatni; wesele czy pogrzeb, pomór czy głód, pleban „brewiarz czyta i dziesięciny zbiera“. Albo w żołnierza w błyskotliwym kaszkiecie, w junaka, do którego lgną dziewczęta i wesołe uśmiechy. A z pieśni jaka korzyść? Lepiej „zaniemieć, jak o drzwi bogaczów tłuc pięści, grać piosnkę rozpusty i zbierać z pogardą rzucone sobie złoto“. Tak, lecz w tém starzec łagodnieje i skrzypkę swą w kościele poświęconą obiecuje zostawić wnukowi w spuściznie, byle „piesni nie podał k'ohydzie“. Oh! bo kogo pieśń raz przynęci, kto jęj świętość zrozumie, ten jeśli nie znajdzie wtóru i z ciasnej klatki nie wyleci w przestrzeń otwartą, temu, jak słowikowi w więzieniu, nie po oklaskach ciżby i gdy nie znajdzie słuchaczy, co „płaczą łezkami rozkoszy“, porwany szałem pieśni zawrotnym, skona marnie, chcąc zagłuszyć zgiełki poziomej troski.

„Liról próżnaś przynęty, strzaskać, by cię na szczęty  
Z ciebie ciernie i krzyże!  
Lecz tyś promień mój głowy, wszak ja lirnik wioskowy  
Skonam, grając na lirze!

Czy to poeta śpiewa? Śpiewa w nim „duch boży,“ to jest natchnienie—„lud boży“, twórca pieśni poety, z którym go „przez serce nitką żywą, w bratnie wiąże się ogniwo“— „świat boży,“ wrażenia które:

. . . . lecą, w pierś się kładną  
Harmonijnie a bezładno.

Tak pojmując poezję, wywołuje wieszczą, jakiego nam trzeba. Nie takiego, co „kwili, gdy mu w piersi kamieniem



grzmotną i nie rozumie, że „te męczarnie, to gwiazda cześci na jego łono“, i nie takiego, co:

„Kiedy pioruny palą im w głowę,  
Chcieliby wstąpić w ciemno grobowe,  
I hańbią siebie przez płacz niewieści,  
Że się fortuna z nimi nie pieści.  
Więc choć do liry wyścigiem spieszą,  
Głos słabych piersi przepada w tłumie,  
Mętnej ich pieśni nikt nie rozumie  
O tacy wieszczce światła nie wskrzeszą.

Wskrzesić wiek martwy! O jak to pięknie,  
Gdy lód zakipi, skała rozmięknie,  
Ziemia uczuje w swych pulsach drganie,  
I serce ludzkie zmartwych powstanie!  
Wielkie to dzieło!...

To też:

„Nam trzeba wieszczca, wieszczca proroka,  
Co by miał lirę i piersi grzmiące,  
Co by piosenką i strzałem oka  
Umiał oswiecać i grać jak słońce,  
Zrodź się poeta!“

„Zrodź się poeta!“ Nie miał zatém siebie, obyczajem braci poetów, za wysłańca przyszłości, za „wieszczca proroka“, a rozumiejąc doskonale znaczenie poezyi, jako: mistrzyni szlachetnych popędów, pobudki do czynów, rozgłośnego słowa, w którym wiek i naród mają złożyć treść ducha swego i ziarno przyszłości, z całym pragnieniem zacnego serca, z całym skromnym zaparciem się wołał o „wieszczca proroka.“

Syrokomla na lirze swój naciągnął i poruszył wszystkie struny zacnych i tkliwych uczuć, prócz jednej struny—i to téj właśnie, co zwykle w liryce najgłośniej pobrzękuje, prócz struny erotycznej, nie ma może poety, któryby mniej śpiewał na cześć różowego bożka miłości. Czy to dla tego, że:

„Naszego wieku mądrym dziewicom  
Milszy dźwięk złota nad dźwięki liry.“

Że poeta, krwawiąc sobie serce, nie kupi łask kochanki? Może — a może i dla innych przyczyn. Może w tkliwém nadzwyczajnie sercu poety była dziewiczość uczucia głębokiego i prawdziwego,—dziewiczość, zdjęta niemotą w obec własnego natchnienia. Proste i tkliwe serca, podobne temu, które dla bacznego czytelnika przegląda z każdego niemal wiersza Syrokomli, są właśnie zdolne kochać z taką przedziwną dziewiczością uczuć. Z drugiej znów strony, poeta, któremu nie brak bynajmniej na humorze i dowcipie, który krotochwilnym żartem przeplata tęskne i rzewne przygrywki swój liry, pod względem erotycznym, nie zdradza najmniejszej skłonności do swawolnych piosenek. W całym, dzieścio-tomowym zbiorze jego poezyi, zaledwie się uda odszukać parę strof, potrącających zlekka o dzieje jego serca. Bezimienną jakąś prosi, by go nie kochała, a będzie im „swobodniej modlić się razem, jako przyjaciele“. Gdzie indziej chce, by mu kielich pobudził „leniwe serce“ i wyznaje, że „na trzeźwo kochać nie jest zdolny“. Wygląda to na krwawy dla płci nadobnej epigram.

Na ogół romantycy nie szczędzili płci nadobnej ostrych domówek i gorzkich zarzutów. W ówczas nawet, gdy wywyższają kobietę na niebotyczne szczyty, śród dymu odurzających kadzideł, widoczném jest chwianie się szczudeł sztucznego wywyższania i narkotyczne działanie przesadnych pochlebstw, to téż dla romantyków częściej niż Beatryczą kobieta bywa „puchem marnym i wietrzną istotą.“ Wszelki precedens, tak w historii, jak w piśmiennictwie, zostawia po sobie pewne pozostałości na następnej, wynikającej z niego epoce, chociażby epoka ta nacechowana była dążnościami reakcyi. Pewne ślady romantyzmu uderzają nas w nawskrós realistycznym talencie Syrokomli. Co do płci nadobnej, do



tych odziedziczonych po romantykach wpływów, przyłączyć się musiały inne, bardziej praktycznej, aktualnej natury.

W epoce, o której mówimy,—w epoce, niezbyt od nas odalanej i której pozostałościami mnogimi dziś jeszcze budować się można, skala umysłowa i moralna kobiet obniżyła się u nas w zatrważający sposób. Niewiasty rozpadły się na dwa obozy: lafirynd i kumoszek. Były zapewne wyjątki stopniowania, odcienie, lecz dwa te krańcowe typy wyskakiwały ostro z ogólnego niewieściego poziomu. Na smutny ten objaw przyczynę złożyło się wiele i wiele takich, za jakie odpowiedzialnym społeczeństwo nasze nie jest, lecz są i takie przyczyny, jakich uniknąć można było. Lafirynda została konsekwentnym skutkiem manii francuzczyzny i pseudo-arystokracji. Przez czas długi wpływy wynarodowiające ograniczały się na czole narodu, zanim niwelacyjnymi dążnościami postępu naszego stolecia przeniknęły inne warstwy społeczne. Pseudo-arystokracja, zrodzona też na zburzonym starym rzeczy porządku, rozwielała się na jałowych gruntach społecznych, wnosząc w towarzyskie stosunki spótygowanie narodów, a nie zasilając je zasługami i zaletami szlachectwa. Zaniechano starych ziemiańskich obyczajów. Małomieszczkańskie i zasciankowe wyobrażenia i przyzwyczajenia oblekły się w odświętne suknie rzekomego dobrego tonu. W tej smętnej tłoczarni ginęła oryginalność wszelka, towarzystwo, na prowincyi zwłaszcza, nabierało pozoru wielkiej, rozgałęzionej, na stopnie podzielonej małpiarni i papugarni, kędy ginęła godność osobista, narodowe cechy, powaga smutku odpowiedniejsza okolicznościom, roztapiały się fortuny i fortunom chcące sprostać fortunki, marniały zdolności wrodzone, a nienormalną koleją przysposobione dobytki nie szły ogółowi w korzyść. Lada szlachcianka mieniła się „damą,“ a że z pozoru łatwy zawód „damy“ jest w rzeczy samej arcy-

skomplikowanej natury, roily się dam cienie, konterfekty — a często-gęsto i karykatury. Poczytny romans francuzki, źle zrozumiane heroiny Jerzego Sanda, zapoznane (incomprises) kobiety Balsacka, marionetki Sue'go i Dumas'a ojca, dokonały reszty. Zapomniano, że ostatnim słowem wykwintu jest wytworność prostoty; maniera zapanowała wszechwładnie: wszystko stało się naciąganém, wymuszoném, fałszywém, ze zwierzchnich form fałsz wraz z manierą wtargnął wkrótce głębiej: spaczyły się charaktery, wyobrażenia, istnienia — obok lafirynd zjawilo się od lafirynd sprytniejsze i niebezpieczniejsze pokolenie całe obłudnic.

Syrokomla był nadto poetą, nadto rozumnym, szczerym i serdecznym, posiadał przytém instynkt właściwy artystom: poczucie piękna i prawdy i nie mógł przylgnąć do tego światka fałszywych blasków, czczości i częstych parodyi i niskich upadków. Po zakątach zaś, gdzie nie dosięgła epidemija „dobrego tonu“ gniezdziły się nieuctwo i trywijalność, ostre ciernie dla wytwornego smaku artysty. W epoce tój, co się tylko znalazło w kobiecym świecie w Wilnie, szlachetniejszego, garnęło się do klasztoru. Nigdy zakon pp. Wizytek nie był w większej, jak w ówczas, wziętości. W tём garnięciu się do niego młodych, pięknych, utytułowanych dziedziczek, było coś więcej nad płochą modę. Pochop mistyczny w latach owych wygląda na reakcyę, przeciw pustkom, płochościom i obłudom kobiecego świata, fałszywym kierunkom emancypacyi i czczości „dobrego tonu,“ któremu to poświęcano wszystko. Nie znajdując ujęć przekazanych przez tradycyę, w dobrze zrozumianém rodzinném i obywatelskiem życiu, ani tych nowych, które dopiero otworzyć się miały: samodzielności w pracy; serce co gorętsze, wyobraźnia co żywsza, charakter co czystszy a samoistniejszy, rzucały się w dewocyę, jako w jedyne źródło ochłody.



Dewocya była na porządku dziennym, ale dewocya wcale różna od dzisiejszej: córki klerykalizmu i ultramontanizmu. Szczersza, z potrzeb niezadowolonych serca, a nie z wyrachowań przeróżnych płynąca, gorętsza zwłaszcza, chociaż mniej rozproszona na efektowne praktyki, o wspólnej gdzieś po za górami ojczyźnie nie marzyła, marzeń tych nie łącząc z wzgardą i niezajomością rzeczy swojskich. Owszem, do rodzimój Ostrobramy tak wiernie lgnęły serca, że nie jedno z nich pękło, wyrwane z zaostrobramskich murów i przeniesione w szczęśliwe strony, kędy najpiękniej rozkwitały, za drugiego cesarstwa, klasztory i zakony. Za klauzurę tedy, do pp. Wizytek szedł na obiatę moralnej reakcyi kwiat niewieści — one córy rodowej szlachty i możnego mieszczaństwa. W salonach i buduarach kręciły się najrozmaitszemi sprężynami, poruszane lalki, lafiryndy, obłudnice, przeplatane lwicami, a po zakątach grzmiały grube, rubaszne kumochy, lub niemiały truśliwe maryonетки. Kędyż zwrócić się miały wyobrażenia i serce poety? Ta krata ścisłej klauzury, a po za nią nieziemskie istoty, tak wytworne, jak panny Czapska, Hornowna, obie Balińskie, obie Fiorentyniówny, tam chłody i obłudy dobrego tonu i jego parodyi, — a tam znów kolce płaskiej powszedności; kolce nie umajone wdziękiem, ani zaśługą; poziomy niepodzwignione dostojnych celów lub uczuć wielkością.

O dobrym tonie i konwenansie zostawił Syrokomla wzmiankę.

„Zinném okiem wrzące łono,  
Chcą przemierzyć aż do głębi;  
Przyzwoitym chłodem wioną,  
Aż ci serce się wyziębi.“

A resztę? Resztę pokrywa zasłona nieprzeniknionej dyskrety.

„O! są w piersiach uczucia, jak święte ołtarze,  
Na które Pan zasłony ponarzucac każe.“

W innym miejscu Syrokomla mówi:

„Sercu co kocha—samotności trzeba.“

Samotności téj gwałcić, zasłony rąbka uchylać czytelnik i krytyk nie mają prawa. Krytyce pozostaje śledzić, w jakim stosunku do dzieła pisarza pozostaje tak ważny i w poetyczne pierwiastki bogaty etyczny czynnik, jakim jest miłość.

W najudatniejszych utworach Syrokomli, jako to: „Jan-ko Cmentarnik“, „Stare wrota“, „Illuminacya“, „Lalka“ i wielu innych, wzmianki o miłości nie ma, ani śladu romansu. W „urodzonym Janie Dęborogu“, miłość, obyczajem staréj szkoły, zakończya długie sąsiedzkie spory i niesnaski. Miłość to młoda, gorąca, z prostotą prawdy opisana.

„ . . . . . z wolna, z wolna,  
Już w nas chęćka zobopólna  
Spójrzyć razem, westchnąć razem,  
Poszczebiotać półwyrazem,  
Przyjacielsko scisnąć dłonie,  
Razem wybiedz na ustronie,  
Pisać kartki potajemnie  
I o sobie snić wzajemnie.  
Cicho, zwolna, niewidomie  
Gore dusza gdy spodoba,  
Z małej iskry bucha płomień  
I zażega serca oba.  
Mgnienia oka, śmiech, swawola,  
Zadumanie, gniew i zgoda,  
Zda się fraszki — daj im wolę,  
A zgubiona dusza młoda.“

Oto obraz kochanki, wzięty ze „Spowiedzi pana Korsaka.“

„Hrehory miał córkę — w wiosnianym dni kwiecie,  
W borowój zaciszy wesole to dziecię,  
Jak chmielu gałązka, gdy wić się poczyna,  
Lękliwa i żwawa jak leśna ptaszyna,



Jak leśna przelaszczka błękitne jęj oko,  
A duma poważnie, a wzdycha głęboko.“

W „Kanoniku Przemyskim“ znajduje się przepysny obraz zalotnika.

„Młodzieniec się prostuje, czuprynę najeża,  
A wiadom, jak podbijać młodociane łona  
Potoczystym a gładkim stylem Cycerona,  
Zaleca swoje służby i powolne chęci  
I kłania się rycersko i wąsiki kręci.

Prawda i prostota w malowaniu uczuć, którą podziwiać należy w Syrokomli, krzywi się pod wpływami romantyzmu. Romans Marcina Studzińskiego z córką sławetnego Kotwica wiązuje się przepysnie. Ale schadzka podmiejska kochanków przed wojenną wyprawą jest komunałem, mdłą barwą mąci przepyszne tło rycerskiej tój powieści. Marya, córka Hryhora, której tak wdzięczny obraz skreślił poeta, gdy umiera w obłąkaniu, po zniknięciu Korsaka, wpada w sentymentalizm, a chybiona gawęda „Wielki czwartek“ jest niefortunném echem romantyzmu i tak nie licuje z nastrojem lutni Syrokomli, że służyć chyba może za oczywisty dowód zahaczenia się wszelkiej nowej szkoły o wpływy szkoły ją poprzedzającej. W naturze talentu Syrokomli leży prostota. Deklamacya i pathos zarówno są obce najlepszym jego utworom. Wstrętne mu wszelkie łamane koziołki, szczudła, pozory. Nie lubi on dogmatyzującego księdza, lecz gotów w ręce całować plebana, gdy „w sutěj kapie zagrzm: Święty Boże.“ Kocha się w starych żołnierzach, jak kapitan Szarpetyn naprzykład, albo ten napoleonista, co go żywczem w paru zaklął strofach:

„Honorowy krzyż na fraku,  
Wąsy zawiesiste,  
Jedna ręka na temblaku,  
Masz napoleonistę.

Babia czułość nieraz błysnie  
Przez rysy junacze,  
Nieraz marszem brwi naciśnie,  
By ukryć, że płacze.“

Kocha się w dziadach kościelnych, żebrakach, ulicznych księgarzach i tandeciarzach, w rubasznym zamaszystym starzej daty ziemianinach, w grajkach i wioskowych pacholętach, w kmieciu i w tej „drobnej a zasobnej szlachcie,“ którą najprzewyborniej opiewać umiał. Przygody i sprawy szarej tej ciżby, cierpienia i mrówcze trudy są dla poety niewyczerpanym źródłem natchnienia. Czerpie je też w legendach i w rycerskiej przeszłości. Można powiedzieć, że sprawy wojenne i rolnicze, szabla i pług, rozdzieliły pomiędzy sobą napół talent poety. Postaciom na pozór pospolitym, wypadkom na pozór drobnym i powszednim, stanowiącym główne tło gawęd, nie brakowało nigdy na poetyczności i rzadkiej artystycznej plastyce. Syrokomla bywa często rubasznym, a rubasznosc, licująca z przedmiotem, nadaje jędrności i wypukłości plastycznej postaciom i sprawom, które powołuje do życia. Poetyczność, w którą umiał przyodzierać najpospolitsze wypadki i postacie, nie naruszając ich realności, wypływa w znacznej mierze z umiejętności, z jaką utrzymywał się w tym wysokim a naturalnym tonie poetyki, co odebrane fakty i typy wiąże w akord ogólnej całości, w drobnych wypadkach i postaciach chwytając te niedostrzeżone dla pospolitego wzroku nici, na których wznieść się daje do ogólnego znaczenia. Syrokomli gawędy mają szerokie społeczne znaczenie. W łonie jego, tak szczelnie zamkniętym, gdy szło o wynurzenie miłosne, wre gorący ogień braterstwa, dla braci łono to otwiera się na oścież.

„Życie ze wszystkimi, czuć bratnią spójnię,  
To jakoś serce bije podwójnie.“



Zna on te spójnie, co łączą „z dolą ludzkości jednostki łono“ i węzłów tych nie zwalnia ani na chwilę. Wówczas gdy pod lodowym podmuchem trosk i rozczarowań serce mu omdlewa i drętwieje, oskarża się o egoizm, trwoży, by czasem „z końcem miłości pieśń jego nie skończyła.“ Nie płonne te strachy zdradzają myśliciela, znajdującego twórczą siłę miłości i jałowość nienawistnej goryczy. W ostrych satyrach, któremi chłoszcze narowy swych współczesnych, w pełnym humoru dowcipie, którym wysmiewa ich przywary, jest oburzenie obywatela i człowieka, patrzącego na zniewagę najświętszych ludzkich i obywatelskich uczuć i zasad, jest ból zacnego serca, zdolnego odczuć każdą krzywdę, poniżenie każde, przebija się chwilami zniechęcenie, lecz nigdzie nie ma zrospaczonego przekonania, jakoby zło było naturalnym, nieodmiennym stanem rzeczy, fatalizmem, któremu poddać się trzeba bez szemrania.

Przeciwnie, wierzy on w poprawę i jeśli nie okazuje się skłonny spoglądać przez różowe okulary na współczesnych ludzi i wypadki, jeśli nie śpiewa naiwnie, jakoby „wszystko najlepiej się działo w tym najlepszym ze światów,“ tém nie mniej dostrzega wszystkie jasne i szerokie drogi, po których przyszłość ma kroczyć i gniewa się i płacze i żółciowie uśmiecha się, lub z wżgardą wzrusza ramionami, na wszystkie narowy, zdrożności, zboczenia, na wielkie winy i na małe grzeszki, które do dróg tych jasnych i wytkniętych zaporą stoją. O tak! żal mu, żal łzawy tych kmieci, których wówczas wielu, jak na to narzekał w „Dębodorogu“ ksiądz Definitor, za „bliźnich swych nie przyznawało,“ co „pod chłostą jęknąć nie mogą“. Cierpi srodze, widząc w poniewierce, w zbydłoceniu lud, rdzeń narodowego pnia. On, szlachcic — to jest: wykwit pnia tego — czuje jak mu na wieść o wyzwolenie włościan „czoło bardziej wawrzynem,“ i dumny z te-

go, że ma herb w pieczęci i że nas nie darmo szlachetnymi zwano. Lecz, gdy widzi haniebne wahania wśród zebranych w Wilnie współobywateli, upokorzony, zbolały, chciałby krzyczeć rodowy swój zhańbiony klejnot i nie być litwinem. Brzydzi się on panami, co, gdy im „niegrzeczni i brudni chłopci krzyczą jak niedźwiedzie: chleba panoczek, daj chleba,“ gniewają się, że ich budzą z poobiedniej drzemki, a dzieci swe „dla dobrego tonu uczą francuzkiego pacierza... Z chlebem i solą“ wita on nową epokę czasu, wołając:

„Idź stara nędzo na suche lasy,  
Idź na dno piekieł stara niewolo.“

Alé do tego potrzeba ofiary,  
Potrzeba nałóg porzucić stary!

Ten nałóg łatwiej porzucić tym, co są u góry i których oświata, poczucia obywatelskie do ofiar wszelkich uzdatniają. Wrasta on głębiej w serce i obyczaje tych, co są niżej, w cieniu, z kąd trudniej wyrwać nałóg „zawiści,“ upozorowany zdaniem wielu burzycieli społecznych porządków, sprawiedliwością dziejowych odvetów. Na taką racjonalną filozofję zgodzić się nie mógł trzeźwy umysł i łagodne a wielkie serce poety; więc tak do młodziej przemawia rodziny:

„Starą nienawiść do starszej braci  
Niech zapomnienie wieczne przygniecie,  
Trzeba przebaczyć, że są bogaci...  
Dziś bogatymi zostać możecie.

Promienie światła, nauk mozoły,  
To tajemnica bogactwa cała,  
Do szkoły dziatwę, szleście do szkoły!  
Już dziś ciemnota wam nie przystała!

Szkoła to wyzwolenie ducha i przyszłości. A jaki mu serdeczny żal było tych „niepiśmiennych,“ których dusza wiekuistą zamknięta niemotą. Lud wyzwolony, przez oświa-



tę uszlachetniony, przedstawiał mu ideał skończonej społecznej szczęśliwości:

„Dziady szlacheckie, z dziady waszemi  
Przeżyły wieki doli, niedoli  
Wieki z wnukami na téjże ziemi  
Obywatelska miłość zespoli...

Wszędzie miłość, nie doktrynerska, oderwana jakas i bezwzględna, jak u szczególnych marzycieli; ale czynna, praktyczna, do ustępstw gotowa. Nigdzie burzenia przeszłości, tylko najszlachetniejsze uczucia, rzucone na podstawy dla przyszłości. Znał on lud nasz, jego zalety, lecz nie spoglądał nań przez teoretyczny idealizm, a jeśli czasem, broniąc praw, uciemiężonego podówczas prawnie gminu włościańskiego, zbyt ostro występuje przeciw szlachcie, czyni to pod wpływem zapału, nie dosyć może biorąc w uwagę postronne okoliczności, towarzyszące temu dziejowemu dramatowi. Obecnej chwili ścierające się prądy uderzyły na wyobraźnię jego; w pokrzywdzonym widząc ofiarę, nie dójrzał wielu i wielu okoliczności łagodzących wyrok, rzucony na krzywdzicieli. Historyi włościan w Polsce nikt nie pisał jeszcze \*) i chyba bardzo zaciekle historyzof mógł zestawić w myśli tablicę porównawczą losu włościańskiego u nas i nie u nas w danych historycznych chwilach. Tak zwaną „literaturę sejmową“, mnogimi i różnej wartości broszurami, w które tak obfitym był u nas koniec zeszłego stulecia, a z których tak jasne światło bije na stan rzeczy społeczny, nie zajmowano się w ówczas tak, jak się zajmują obecnie. Chociaż ludzie złej woli, lub zbyt widocznie w tém zainteresowani, nie byli

---

\*) Obecnie posiadamy niedawno wyszłą książkę w téj ważnej materii, pod tytułem: „Włościanie u nas i gdzieindziej“ przez W. Przyborowskiego. Wilno. Nakł. El. Orzeszkowej i S-ki.

jeszcze wygłosili pseudo - historycznego dogmatu: jakoby kraj nasz był „piekłem chłopów,“ dość było widoku jednej krzywdy, łyż jednej, by rozpałiło serce i wyobraźnię poety. Istotnie kraj nasz był „piekłem chłopów,“ lecz w tém li znaczeniu, że los poddańczy stanu włościańskiego zbyt jaskrawo odbijał od tła narodowych wolności i swobód. Tam, gdzie niewolnictwo przygniatało ogół, najniższe warstwy społeczne zsuwały się w nieprzejrzane cienie, zdeptane przez możniejszych, lecz nie mniej wiekową zależnością upodlonych swych panów.

Między poddaństwem a niewolą zachodzi zasadnicza, nie dość zwykle uwzględniona różnica. Stosunek włościan do panów, przedstawiający się prawnie w tak strasznych kolorach dla oświeconego we względzie społecznych stosunków sumienia naszego, stosunek w praktyce ciężki, bolesny, nie był nigdy niewolniczo upadającym, a często patryarchalnymi rysami złudzić mógł sentymentalne umysły. Ilustracją tych patryarchalnych rysów są w samém Syrokomli słowa, zastosowane do *Janka Cmentarnika*, pielęgnującego swego pana, — jest rażąca różnica pomiędzy wierném sercem poddanego sługi, a sercem niewolnika, niezdolném zgadnąć „co boli“ jego pana. U nas feudalizm nie wsiąkł nigdy w obyczaj, w ówczas nawet, gdy się odbiły jego wpływy w prawodawstwie, w końcu zaś zeszłego stólecia, w bolesnej i wspañiałej zarazem chwili ocknienia się narodowego i społecznego sumienia, wiadomo, jak każdy jaśniejszy umysł, każde szlachetniejsze serce, myślało o polepszeniu bytu włościan i projekty do odnośnej ustawy zdumiewają szeroką swą humanitarną skalą. Ale to było... tak dawno! Odtąd wiele różnej przepłynęło wody i nie dziw, że wiele się zapomniało, zszargało, straciło... Neponizm opanował w bezczynności gnusniejszą szlachtę; lud zgięty u gleby wyczekiwał cierpli-



wie, aż mu się wróci cześć ludzka, a w świecie gwarno było, jak bywa przed każdym wielkim wstrząśnieniem. Neronizm, o jakim wspomnieliśmy dopiero, dochodził do zenitu. Nie było nawet bodźca zagrożonego własnego interesu, ani walki, któraby zbudziła instynkt zachowawczy. Obywatelstwo wiejskie żyło nad skalę, bawiło się, upojone bezmyślną czczością. Krotochwilny a zjadliwy nagrobek, skreślony przez Syrokomlę, jednemu z współczesnych luminarzy swjej parafii, dałby się ryć na nagrobnych kamieniach całego niemal obywatelskiego pokolenia.

Egoistów, obzartuchów i nadętych głupców, Syrokomla znieść nie mógł, przesładował dowcipem obosiecznym. Nie cierpiał dworactwa i panoszenia się. Narzekał na to, że „gdy potężnych domów mnodzy są klienci, trudno jest w kraju o obywatela“, a takich co „radzi by w pańskiej ujarzmić się sosze“, po śmierci wraz z Markiem skazywał na samotną włóczęgę po piekle; odepchniętych przez swoich, tamtych nieprzyjętych, a zbyt „głupich“, by na sroższą zasłużyć mieli karę... Brzydzi się on sprzedajnym sędzięgo sumieniem i tym

. . . . . świętoszkiem najszkodliwszym z ludzi,  
Co z rzemiosła cześć bliźnich rozdziera i brudzi.

Brzydzi się pochlebstwem i wzdraga na przemocy samowolę. „Zascianek Podkowa“, „Lalka“, „Księgarz“.

„Iluminacya“ i inne gawędy są gorącym przeciw samowoli protestem.

To współczucie wymowne dla cierpiących, ujarzmionych, ciemnych, maluczkich, słabych, obalamuconych; ta głośna nagana szlacheckich przywar, zjednały Syrokomli opinię demokraty. Jest on nim istotnie w najlepszym tego słowa znaczeniu. Czy demokracja podobna godzi się ze szlachec-

kiemi tradycjami, tak żywo przechowanemi i w pieśń przełanemi przez niego? Najzupełniej. Ktokolwiek baczniej przypatrzy się dziejowemu rozwojowi stanu szlacheckiego u nas, równie ściśle zespolonego z rolnictwem, jak z wojaczką, ten uderzony być musi przez demokratyczny charakter tej, tak dumnej ze swęj równości, rzeszy. Jeśli w praktyce życiowej szlachcic na zagrodzie stał bardzo daleko od senatorskiej wielmożności wojewody, bywały często powtarzające się w życiu narodu chwile, w których szlachcic ów nie pojedynczo, lecz zbiorowo występował jako potentat, z którym nie tylko wojewodowie, lecz i królowie, nawet potężni Jagiellończycy liczyć się ściśle musieli. Ale w życiu prywatném, ten sam polityczny potentat, ten husarz butny, namiętny orator „pro publico bono“ i przedsiębiorczy rokosznic, hardy delegat na sejm elekcyjny, co, chodząc nieraz w chodakach i szaręj kapocie, używał przywilejów, nieznanych gdzieindziej książętom i panom, w życiu prywatném na swoim zagonie, o mie-dzę sąsiadując z chłopem, zbliżał się do ludu rolniczym swém powołaniem i zamiłowaniem. Rzesza to była, pospolita rzesza, w całej tego słowa rozciągłości. W Syrokomli odbił się najprzewyborniej ten demokratyczno-szlachecki nasz charakter. Rolnik z pługiem, kosarz z kosą, rycerz w zbroi i towarzyszy pancerny na koniu, godzą się z sobą, jak liście na jedném drzewie; taż sama barwa artystyczna i soki tej samej treści. Z takim samém zamiłowaniem, z jakim lubuje się każdym źdźbłem, wyrosłem na rodzinnej niwie, kreśli bojowe obrazy i z tą samą czcią, co przed strzechą, staje przed majestatem przeszłości historycznej. Rycerska krew dziadów i pradziadów wrzeć mu musiała w żyłach, gdy na przykład w „Marcinie Studzińskim“ opisywał przepyszną procesyę biskupa Tabora po okopach Wilna, albo pyszniejszy jeszcze bój z Tatarami:



„Wśród żądał mieczów, strzał i bardyszy,  
Kurż pokrył wojsku oczy i twarze,  
A jednak widzi, a jednak słyszy,  
Gdzie im ksiądz Gliński uderzyć każe,  
Szlachta się waha, słabnie w natłoku,  
Przed liczną hordą wytrwać nie zdoła,  
W tém Nowogródzka chorągiew z boku,  
Idzie na pomoc, jak miecz anioła,  
Wsciekły pohaniec znów ruszył w taniec.  
Wzmógł się na siłach, tabor zamyka,  
Ale Grodzieńskich puszczych wychowaniec  
Wziął go na oszczep, jak bierze dzika,  
Mostem padł Tatar zbity zwycięzko...”

W samej energii i plastyce opisu tętni odziedziczona, nabyć się nie dająca, rycerskość, z krwią wyszana, wszczepiona.

Szlachta jest integralną częstką narodu. Ponizac ją nie byłoby to samo, co odrzekać się przeszłości? Lud to przez oświatę do stanu szlacheckiego podnieść wypada i znieść, dla rozwoju społeczeństw i postępu, zgubne, uprzywilejowane klasy paczące—przywileje. Spuścizny cywilizacyjnej, zostawionej przez szlachectwo, nie lekceważy on dla tego, że zna przeszłe szlacheckie narowy i obecne grzechy. Po naukę wysłał chętnie do grobowej ciemnicy, kędy spią przodkowie,

„I przez lata, przez setne  
Zanurz oko w przeszłości,  
Wszystko wielkie, szlachetne  
Zbadaj w prochu ich kości.”

Wierzy on w odrodzenie tej szlachty, której wojenne i sejmowe sprawy świat ongi podziwiał. Odrodzona przez naukę i pracę jeszcze sobie „na podziw zasłuży”. Nie odcina jej, jako spróchniałej gałęzi od narodowego pnia, owszem:

„Wy będziecie na świecie, potrzebne na nowo  
Nie na sejmik z pałaszem, lecz z piórem, lecz z głową.”

Świat to szerokie pole, pełno na nim chleba,  
Tylko uczyć się trzeba i pracować, trzeba  
Wydobywać hart duszy, co śpi w poniewierce,  
A herbem szlachetności wypiętnować serce.

Tytko w sercu, „napiętnowaném herbem szlachetności“, w prawym dziedzicu tych, komu z wiekwieków znaną była „swoboda“, powstać mogło istotnej swobody zrozumienie. Jasnieszego, jak to, które zostawił a zarazem piękniejszego określenia tego przedmiotu dążeń ludzkości, znaleźć trudno. Ubolewając nad grzechami swych ojców, Syrokomla mówi i o tém grzechu, któremu na imię była swoboda:

„Nie ta swoboda, którą ma od Boga  
I myśl człowiecza i niebieski ptaszek,  
Co nie dla marnych stworzona igraszek,  
Co wie zkąd idzie i dokąd jęj droga,  
Pilnując kręgu, jak słońce, na niebie  
Ciepło i światło sieje koło siebie  
I zna to dobrze, że gdyby w zakresie  
Światła przekroczyć choć na jeden atom,  
To zamiast szczęścia, które daje światom,  
Straszliwe świata skończenie przyniesie.  
Córka zniszczenia jest inna swoboda,  
Czynem i słowem w karby nie ujęta,  
Do której hasło najpierwszy ten poda,  
Kto chce narzucić niewolnicze pęta“.

Wpatrując się w przeszłość ojczyzny, wielbiąc, co uwielbienia godném było, nie daje się zaślepiac synowskiej miłości. W poglądach jego jest trzeźwość niezbędna nam, chociaż po dziś dzień potępiana przez wielu synów, rozkochanych w cierpiącej matce szczerze, lecz bojaźliwych z natury, nie dość ufnych w nieprzemogłą siłę prawdy. Syrokomla dostrzega skazy i nie sądzi, by skrywać takowe było zadaniem synowskiego serca.

„Przeszłości święta! tyś nasza mistrzyni  
Nie dla zgorzenia, ale dla poprawy,



Pozwól w twój obraz przypatrzeć się mgławcy  
I nie poczytaj nas za świętokradzce,  
Nie miej za winnych synowskiej obrazu,  
Jeśli się zdała, przypatrując matce,  
Na jój obliczu odkryjemy skazy“.

W tym krzyku prawego obywatelskiego serca, rozbija się równomiernie dobrze zrozumiana i z głębi duszy płynąca cześć dla przeszłości, której fałszywemu, aczkolwiek miłości własnej narodowej schlebiającemu bezwzględnie, idealizowaniu, widoków przyszłości poświęcać nie mamy *prawa*. Trzeba istotnie nie mieć wiary w przyszłość i żywotność kwestyi narodowej, by się tak sromać rozpatrzenia dziejowej prawdy i bać się, że wyjdzie nam takowe na *zgorzenie*, a nie na *poprawę*. Tak krzywdzącą naród i przyszłość nieufnością, nie zadrzał głęboko wierzący i gorąco miłujący Syrokomla.

To dla przeszłości—a dla przyszłości? Nie miał on siebie, jak wiemy, za „wieszczą proroka“ i nie prorokował dnia jutrzejszego. Szło mu przedewszystkiem o to, aby w obecnej chwili rozbudzić i w czuwaniu utrzymać wszystkie, rozbudzić i utrzymać się dające tętna społecznego życia. A reszta? Znać wierzył w rozwój naturalny i w te wielkie strumienie, na które się drobne składają krople; wierzył w dobroczynne działania organizacyjnego spokoju. Gdy mu starzec mówi, że „póki grzmotu, póty wiosny nie ma“, kochanek spokoju trwoży się, blednie, łono jego tak spragnione wiosnianych odnowin!... już gotów modlić niebo o gromy... ale nie:

„Czyż wolno dziecku, kiedy się zamarzy,  
Nad strzechą ojców rozciągać postrachy?  
Nie wolno—nie chcę gromów za narzędzie“.

Gdyby nie było świadectw innych, a służy za nie całe dzieło Syrokomla, tak jasno sformułowane wyobrażenie o

swobodzie i jej granicach, tak dobitnie wyrażona niechęć przeciw burzom, dowodziłyby już ostatecznie o usposobieniach reformatorskich demokracji, nie mających nic wspólnego z burzycielstwem socjalistycznym. Dla czego kielkujący już wówczas w Europie socjalizm nie znalazł przystępu do wyobrażeń nawskróś demokratycznych poety, gdy go drażniło i egzaltowało okoliczności tyle? Długo by można mówić, gdyby była pora i miejsce po temu. Zanotować jeno wypada wpływ tradycyi szlacheckiej i narodowej, grunt naturalny, który ziemianin, osiadły z dziadów-pradziadów na roli, czuje pod sobą i za podstawę społecznego porządku uważać jest niezwołonym, to wreszcie, że wpływy te naturalne i dobroczynne nie były spaczonymi przez niezdrowe wpływy obcego wychowania. W domowém, miejscowém, średnim zaledwie wykształceniu, które odebrał nasz poeta, nie było niestety wzmacniających umysł dźwigni nauki i rzeczy wiedzy, co by spotęgowały jego talent do wiele wyższej normy, lecz nie były się wcisnęły doń jeszcze bałamutne prądy, wodzące niedoświadczone, młodzieńcze umysły na pokuszenie, ani owe nieuniknione starcia między auctochnicznymi i napływowymi zasadami, co to nie budując chwieją tylko wszelkie naturalne podstawy. Jednym słowem, Syrokomla demokrata, był niezaputym, niewykrzywionym niestosowném wychowaniem, synem społeczeństwa, opierającego się o przeszłość, to jest: o zasób uzbieranych i wyrobionych sił społeczeństwa, mającego przed sobą upatrzony, w określonym kierunku, cel, to jest: niezdolnego trwonić przechowane swe siły na przewrótne marzenia. W takich społeczeństwach, z natury rzeczy, tkwi zrozumienie dobroczynnych czynów porządku, ukochanie namiętne swobody tej, co na atom nie śmiejąc przekroczyć wyznaczonego jej kręgu, „ciepło i światło sieje koło siebie“, ale nie tej, o nie! w karby nie ujętej i zniszcze-



nia córki, za hasło służącej tym, „co chcą narzucić niewolnicze pęta“.

W pobieżnym tym szkicu zadaniem naszym było ująć etyczną treść „gawęd i rymów ulotnych“, rzucić kilka rysów, lub właściwiej mówiąc, podkreślić niektóre rysy w dziele poety, aby ułatwić czytelnikowi wniknięcie w jego ducha. Dla tego na słabym tym szkicu ciąży niepomierne brzemie przytoczeń, naruszające może prawidłowość literackiego utworu, lecz ułatwiające zadanie, któreśmy mieli na celu. Głosłownie wyrażone zdanie krytyka, nie poparte świadectwem autora, o którego rzecz idzie, najszcześniejsze domysły lub wnioski, nie poprzedzone wskazówką pewnych poszlak, nie wiele nauczają wówczas nawet, gdy znana wytrawność sędziogo obudza zaufanie czytelnika. Najbardziej stanowczo w najlepszym literackim tonie wygłoszona, bogdaj by przez autorytet, potępiająca czy poczeszna wyrocznia, nie zbuduje nikogo, chociaż czasem zmiażdży a priori ofiarę, lub wyższy wybrańca chwili. Czyżby nie było raczej zadaniem krytyki wszelkiej zachęcić poprostu czytelnika, do zawarcia osobistej, lub bliższej znajomości z artystą lub poetą pewnym. Syrokomla naprzykład najzupełniej obejść się może bez rekomendacyjnego listu. Skoro go przeczyta ten, co go nie czytał dotąd przypadkiem, skoro odczytają ci, w których czas osłabił dawniejsze wrażenia, każdy mu na oścież otworzy serce i każdy do dźwięków jego lutni rzewnych i głębokich, to znów dowcipnych i rozigranych wesoło, nakłoni chętnie ucha i bacności. Lutnia ta ani razu nie brzękła fałszem, upodleniem lub egoizmem i chociaż skromniejsza od nieśmiertelnych harf wielkich pieśniarzy, które ją poprzediły, nie wątpliwie oryginalna, wolna od naśladownictwa, swojska, posiadająca nie przeżyte zalety i żywotność treści i formy zjednała sobie poczesne miejsce w chórze narodowego

pismiennictwa. Gawędy Syrokomli czytane były chętnie, przyjęte nadzwyczaj sympatycznie przez publiczność, jak to już mówiliśmy wyżej. Nie było to powodzenie chwilowe. Dziś, gdy już drugi dziesiątek lat upływa od przedwczesnej śmierci poety, a trzeci odkąd ozwał się na Litwę i Koronę pełną pieśnią, gdy nas tyle wypadków, przewrótów oddala jeszcze od téj już dalekiej chwili, „gawędy i rymy ulotne“ nie straciły na wartości i wdzięku. Owszem, odnajdujemy w nich wszystkie zalety, odwiecznej u nas, lecz dopiero obecnie po imieniu nazwanej sztuki realnej. Wraz z uznaniem zalet tych, przynętę podwójną mają dla nas utwory poetyczne, w których realizm nie osłabił bynajmniej, jak to chce przesąd poezyi. Weźmy na przykład „Janka Cmentarnika“. Pod artystycznym względem, utwór ten uważanym być może za arcydzieło Syrokomli.

Nic jednak prostszego, powszedniejszego nad treść. Chłopak wiejski idzie na służbę do dworu:

„Z sercem rozdartém i bolejącém  
Z tysiącem wspomnień, z marzeń tysiącem...“

Na pańskim dworze huczno i barwno, a jednak trawi go tęsknota:

„ . . . . . jedyna bieda:  
Że Bóg przeszłości zapomnieć nie da...  
Lecz to przeminie... Ej! nie przeminie

„ . . . . .  
Kiedy raz wrosła, nic nie pomożem  
Już téj miłości nie wyciąć nożem...  
 . . . . .

„Nieuleczony, dziwny szalenięc:  
On w kraju pszennym snił żyta wieniec“.

Z tą niezrównaną tęsknotą w duszy, Janko wziął rozbrat ze szczęściem. Były to czasy wojen wielkich, pan i Janko pociągnęli w świat za zwyciężkim Bonapartego korowo-



dem. Dla Janka obojętnym był „Wielki poemat krwi, ognia i czynu“, on wciąż tęsknił do powietrza pól rodzinnych, czy to brał chrzest krwi pod Wagram, czy kiedy obce płądował niwy:

„Choć w takt rycerski puls jego grzmoce  
On o swęj wiosce śni całe noce

Śpi na biwaku, na cudzej ziemi,  
A dusza jego hula ze swemi!

Jakże mu radośnie serce biło, gdy, po powrocie z woj-  
skiem zdobywczem do kraju, o ośm mil tylko znalazł się od  
swęj wioski. W inną stronę szła wojsku droga.

„I znowu lata lub wieczność cała  
Przedzieli może nieszczęśliwego  
Od miejsc, do których wciąż dumki biegają!..

Tak się i stało. Rannego w tułaczce pana, Janek przez  
długie pielęgnował lata i nie opuścił samotnika, gdy wrócili  
w ponury dworzec karpacki. Przywiązał się do towarzysza  
broni wierném sercem, lecz nie sercem niewolnika.

„Bo ci niewolnik na twarz upadnie,  
Każdy kapryśny grymas odgadnie,  
Przezna nałogi w latach niewoli,  
Ale nie zgadnie, co tobie boli

Oh! dla miłości i dla przyjaźni,  
Nie korca soli, nie beczki chleba,  
Ale cierpienia na próbę trzeba!

Siwy, złamany, osierocony, po śmierci pana, wraca w do-  
mowe progi i ujrzawszy zdala swą matkę, pada na twarz,  
jak pobożny pielgrzym u kresu pielgrzymki—ale

„Podniósł się, spójrzył z twarzą żałosną:  
Gdzież nasza chata? Tam drzewa rosną“.

Gospoda nowa — w gospodzie nowi ludzie. O kogo nie spyta, tylko śmiech płochy w młodych wywołuje:

„Bo tamci ludzie, rówieśni Janka,  
Jedni pomarli, drudzy ztąd wyszli,  
Nowej gromadzie już ani w myśli,  
A z tamtych dziewcząt gromady całej  
Dwie stare babki ledwie zostały.  
Janek już nie śmie pytać o więcej,  
Krew w jego piersiach bije goręcej;  
Wychyli czarękę i gorzko duma,  
Tu każdy brata, każdy ma kuma,  
A on nikogo znaleźć nie może!“

Rówieśni jego w grobie! Do nich dąży z czarką miodu  
i przepija na grobowcach krewnych i przyjaciół:

„W ręce twoje Hrehory! Hej wesół Wasili!  
Czy pamiętasz Hrehory? Tyś był zuch do spółki

Wasili! Czy ty słyszysz! Czy ty śpisz Wasili!?  
Ty chciałeś być żołnierzem,  
Wiesz Wasili? Ja byłem w hiszpańskiej krainie...“

Tak baje druhom starym, obejmując nad ich grobami sterzące krzyże, a oni głusi śpią tam głęboko, twardo... i nie obudzą się nigdy... na żaden, chociażby nie wiem jak rozdzielający, chociażby nie wiem jak był im za życia miły i luby głos, — nie odpowiedzą i nie drgną nawet... nigdy. Miłość ta dla niemego grobu, obcowanie żywą pamięcią z ukochanym wspomnieniem, jest bez wątpienia bardzo poetycznym pomysłem — realności dotykalmnej, pysznego w prostocie swęj pomysłu świadczyć może każde serce, któremu „dom, kościół, gospoda“... na cmentarzu.

Tęż same, co w „Janku Cmentarniku“ zalety, spotykamy w gawędach: „Urodzony Jan Dęboróg i Stare Wrota,“ chociaż pod względem artystycznej okragłości i głębokości poetycznej „Janko“ prym trzymać się zdaje. Druga część „Starych Wrót“



naprzykład, o wiele mniej jest piękną od pierwszej — poeta wpada w zabójcze dla poezji gadulstwo. W opowiadaniu prostém, jędrnym części pierwszej, z rzadką plastyką występuje postać skromna i błogosławiona Piotra Skargi, co

„ . . . . . wśród synów Lojoli  
Wyrośli, zestarzał, wierzył w ich cnotę,  
Grzmiał z kazalnicy w słowa szczerzo - złote,  
Żył i pracował zakonowi gwoli,  
W ręce obłudy dał się nieobłudnie,  
I w piersi uczuć niezgłębioną studnię,  
I męzką wolę i rozumu siły  
Złożył Piotr Skarga na starszyzny ręce... ”

Synowski stosunek Zygmunta III do Piotra Skargi, pochwycony trafnie, budzi w myśli czytelnika długie rejestry dziejowych zagadnień:

„Króla z kapłanem spowiedź w cztery oczy  
Długa i rzewna — widać jak lży leje...  
O! tę rozmowę, którą z Bogiem toczy,  
Gdyby raz jeden podsłuchały dzieje,  
Może ich karty brzmiały by inaczej,  
Lecz insze ludzkie, insze sądy Boże!  
Kapłan dla skruchy grzesznemu przebaczy,  
Ale historia przebaczyć nie może.“

Gdzieindziej, kiedy Piotr Skarga broni się od przysłania po siebie dworskiej kolasy i zasłania się większym od siebie Panem, Zbawicielem świata, co stopy swe na piaskach szargał Judei, król ulubionemu ojcu duchownemu żartobliwie odpowiada:

„ . . . . . O mój księże miły,  
W trzydziestu leciech Chrystus nie był stary,  
Ale w te lata, z waściniemi siły,  
Nie posuwaj się z Chrystusem do miary.“

Wynaleziono na stajniach królewskich skromny wózek i wąsala woźnicę, szlachcica z Litwy Szeligę. Wózek, ksiądz

i woźnica, jak gdyby zrośli z sobą w jedno przez „latek trzymaście.“ „Szeliga biedak.“ „Tym kluczem najprościej, serce się Skargi otwarło Szelidze.“ Wożąc co rano księdza do zamku i o południu odwożąc do klasztoru, Szeliga nie o jednej nędzy, o biedzie nie jednej opowiedział, niby od niechcienia dobrodziejowi i

Już nazajutrz pacholek zamkowy  
Zaniósł był wsparcie — Bóg że wie od kogo...

Poeta przytacza nadzwyczaj udatnie próbkę rozmów Skargi z woźnicą:

— „Mróz, miły bracie! czy waści nie chłodno?“

— „Ręce pokrzepli miłościwy księżu!  
Choć mam opończę ciepłą i wygodną,  
Chłód i przez szubę do kości dosięże,  
Krew już nie grzeje, to i cóż za dziwy?  
Starość nie radość, księżu miłościwy!  
Śmierć w oczy patrzy!“

— „Niepotrzebna trwoga  
Bliżej do grobu, to bliżej do Boga—  
(Odpowie Skarga) — Zresztą, miły bracie,  
Tam w niebie ciepłej.“

— „Ciepłej, księżu miły,  
Niżby naprzykład, ot w tej starej chacie,  
Co nad jej okny wiszą lodu bryły...“

Ta „próbka“ rozmowy niech służy nam zarazem za wybraną wśród niezliczonej liczby sobie podobnych za próbkę swobody, z jaką Syrokomla pisał wierszem. Czyta się to tak płynnie, tak składnie wychodzą rymy i rytmy, tak naturalnie snują się myśli, uwagi, obrazy, porównania, opisy, że ze wszystkiego najtrudniej już pono dopatrzeć u Syrokomli najlżejszego wysiłku woli, lub wyobraźni, łamania się z językowami i stylowami trudnościami. Przeciwnie, jeśli co można mu zarzucić, to zbytnią łatwość i do łatwości tej przywiązujące się łącno zaniedbanie lub gawędziarstwo. Często nawet mowa nie dopisuje natchnieniu, umysł niecierpliwiej, pło-



dniej, więc niezwyyczajonej do łamania się z twardemi trudnościami twórczości, przeskakuje te trudności, lub zadawałniam się pierwszym lepszym wywiązaniem, co się pod pióro nawinie. Rym staje się ubogi lub trywialny. Zdarza się na przykład, że *żyto* rymuje ze *znakomitą*, *zajęli* z *najweselej*, *wyborze* z *może*, i tём podobnie. Drugim razem natchnienie słabnie, a wiersze płyną jak potok, któremu raz upuszczono śluzę i który u zastawy spadał kaskadą dzwiecznych skrzęcych się strumieni, a dalej rozlewa się po płaszczyźnie szary i mętny. Niedostatki te robią wrażenie, jak gdyby pochodziły, jak to mówią pospolicie: „z prędkości.“ Nie trzeba słyszeć, co wiarogodni i naoczni światkowie opowiadają o nadzwyczajnej szybkości, z jaką Syrokomla tworzył, aby doznać tego wrażenia. Szykość ta z zaletami swemi: świeżością i jędrnością i z niedostatkami: zaniedbaniem i zubożeniem pomysłu i formy, czuć się daje oniemal w całym dziele poety. Czy na ten pośpiech oddziaływały okoliczności finansowe i praca „dla grosza“? Komu wiadoma jest, wstyd wydawcom przynosząca, norma honoraryów literackich, jakie się dostawały w udział poecie, ten w tym pośpiechu, chętniej widzi wrodzoną mu zaletę i wadę, niżeli dobijanie się o żebracze bonifikacye. I w tём nawet ujawnia się charakter narodowy Syrokomli. Jak większa część z nas, mało co zrobił dokładnie, dla braku cierpliwości i wytrwania. Chociaż szlifowane do zbytku pomysły, okresy, wyrażenia, rymy, tracą niewątpliwie na sile i świeżości, zaniedbanie w szlifie najmniejszego klejnotu przynosi mu też uszczerbek nie lada, giną połyski, które wydobyc było można.

Usterek tych najmniej dostrzegać się daje w gawędach, z których niektóre są od nich zupełnie wolne. Toż samo powiedzieć można o znacznej części lirycznych poezyi: „Lirnik wioskowy“ na przykład, pod względem treści i przewy-

kwintnej formy, jest skończenie pięknym utworem. W ostatniej części poeta mówi:

„Liro ty moja śpiewna, z czarodziejskiego drewna,  
Ludzie łzami mię poją!  
Tys dla mnie ulgą bożą, a gdy mnie w grób położą,  
Ty będziesz chlubą moją.“

„Lirnika“ Syrokomla wyśpiewał w Nadniemeńskim swym Załuczcu, w 1852 roku, w porze najpiękniejszego rozkwitu swego talentu. Wierzył w nieśmiertelność, czując w piersi ten ogień święty, który niczem nie może być zgaszony. Wierzył, że z grania jego urosnie chluba dla rodzinnej wioski, że przed ludzmi dalekimi: „z nad Dunaju, z samego Kijowa, głośnym u świata lirnikiem,“ szczyścić się będą jego ziemianie:

„I powiodą przybyszy do cmentarnej zaciszy,  
Gdzie przy sosnie trzy krzyże;  
I rzekną wznosząc głowy: „Tu nasz lirnik wioskowy  
Skonał, grając na lirze“!

Wówczas już, jak każdy, komu prawdziwe natchnienie to śpiewa, to przycicha w myśli i w duszy, miewał chwile zwątpienia.

„Pieśni moja brylantowa,  
Wypieszczone piersi dziecię,  
Czyż to prawda, co świat plecie,  
Żeś ty rzucić mię gotowa,  
Że młodzieńcze miną lata,  
Minie pora ideału  
I człek staje się pomłu,  
Jako bryła lodowata?

Czując, że nie zasłużył na tak straszną karę, że nie splamił białej szaty ofiarnika, sprzedając się dla złota lub próżnych mar pychy, ze zwątpieniem pełnym nadziei pyta:

„Minął zapał i ochota?  
Czy ja zimny? Czy ja stary?



Później dopiero, już w podwileńskiej Borejkwoszczyźnie, przy starciu się z szerszym, gwarniejszym światem, pomimo zachęty, jaką spotykał w sympatyi ogółu, uznania intelligencji krajowej, serce mu scisnęło istotnie gorzkie zwątpienie.

„Czy prawda, moja pieśni, mój ty skarbie cały,  
Że mi w duszy zastygło, myśli postarzały,  
Że już wkrótce ulecą z piersi lodowatej,  
Jak ów motyl z chwastu, co stracił swe kwiaty  
Bojować? już minęły młodociane chwile.  
To fałsz! wszak w duszy mojej jeszcze ognia tyle  
Zadnę w płuca — o! jeszcze grają pieśni moje.“

Dotkliwa to rzecz: czuć swą nieudolność i zgodzić się na niemoc życiową, lecz stokroć boleśniej temu, co czuł w łonie siły twórczości, rozstawać się z niemi! Rozgwar świata, w jaki Syrokomla pociągniętym został, ujemnie działać musiał na poetyczne u łona wiejskiej przyrody wypiastrwane, w skupieniu ciszy rozrosłe, usposobienie jego. W około niego coraz to było gwarniej, czuł on, że zanosi się na burzę i znając miarę sił swych, wołał:

„Piosnko moja! ej! nie tobie  
Przebić wichur burzy,  
Wracaj jęczeć sama w sobie,  
Kiedy serce wtórzy.“

A może czuł w piersiach jak Hejne grabarza, co młotkiem stukał w jego serce, gdy mówił:

„A choć nas w śródku dzieła Pan k' sobie przyzowie,  
Pięknież stanąć z koroną zasługi na głowie.“

Droga to była istotnie do połowy zaledwie przebyta i skroń poety wieńczył potrójny wieniec: talentu, miłości i cierpienia. Z darów przyrodzonych, z wpływów napotkanych na krótkiej, jasnej i ciernistej pół-drodze, nie zmarnował ani jednego. Jeśli błędził i upadał jako człowiek, błędy swe

słabością natury ludzkiej, pokusą trosk mnogich, dokuczliwych spowodowane, upadki, umiał okupić zacnością i serdecznym ciepłem uczucia, a przed sądem potomności staje z dostojnością prawego obywatela z czołem nie poniżonym, „nie-wolniczym pokłonem,“ z sercem promiennym, choć i ociernionym, z lutnią nastrojoną zawsze harmonijnie, a często wysoko bardzo, domagając się od sądu potomności, jako człowiek więcej współczucia, niż pobożania, jako poeta — należnego sobie uznania.

Potomność bierze po nim bogatą spuściznę, jaką zbierać zwykła po prawych synach ojczyzny, po wybrańcach talentu. Testament Syrokomli brzmi dosłownie tak jak, przedśmiertne zapisy Acernusa. Sławę swą przekazał rodzinemu miastu, a miłość

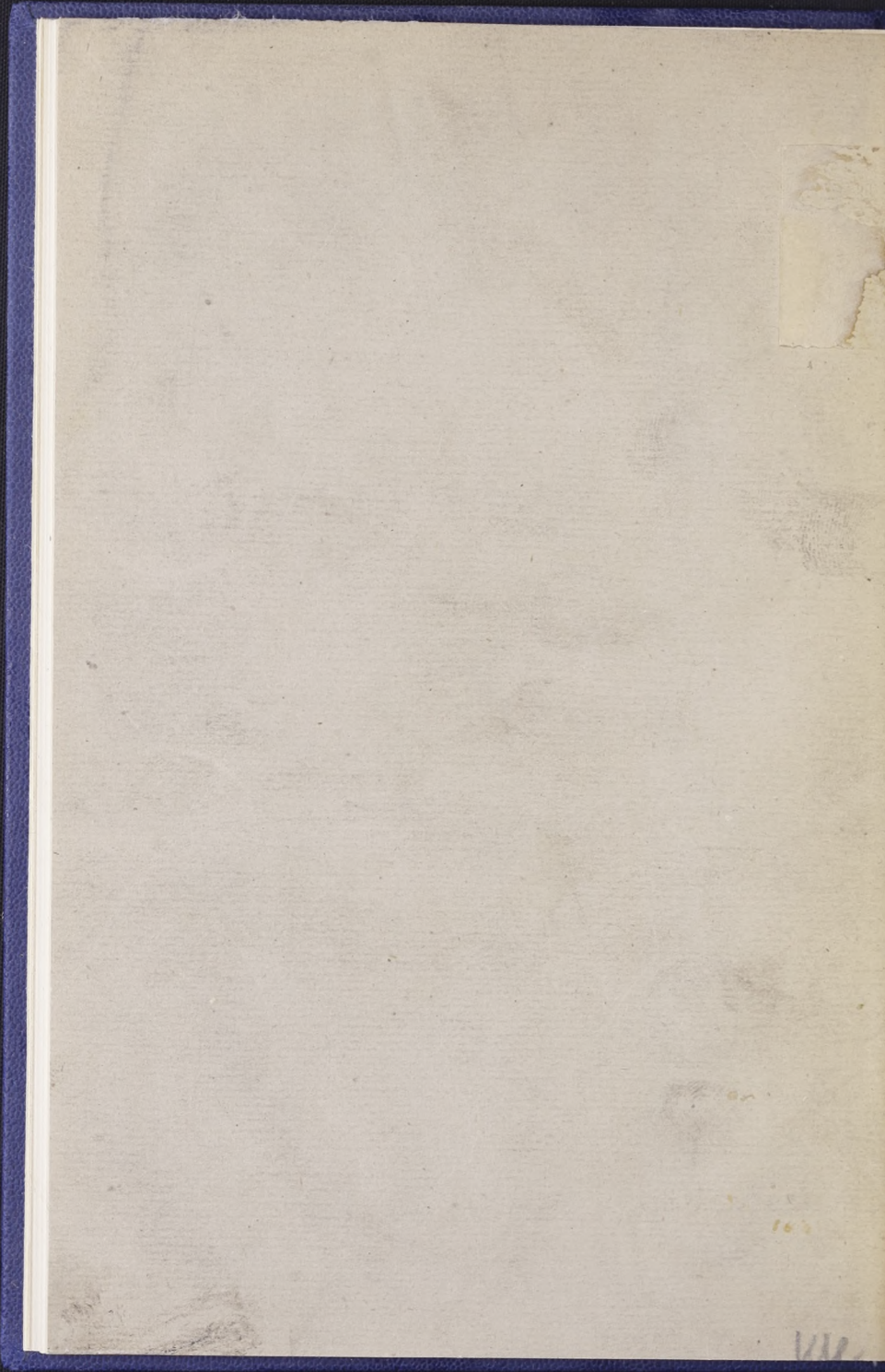
„Matce — rodowitej ziemi.“





9

6















2008911

Biblioteka Narodowa  
Warszawa



30001010187393